

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

ROBYN CARR

Przeżycie z przeszłością



ROBYN
CARR

Pożegnanie z przeszłością

Przełożyła
Klaryssa Słowiczanka



Tytuł oryginału:
A Virgin River Christmas

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2008

Opracowanie graficzne okładki:
Robert Dąbrowski

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordęga

Korekta:
Ewa Popławska

© 2008 by Robyn Carr

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin
Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji
części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane
w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych
– żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeX[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8377-7

PROLOG

Marcie stała koło jasnozielonego garbusa. Słońce ledwie wstało, zapowiadał się szary dzień, chłodny, ponury, ale dla niej wyjątkowy. Wreszcie zrealizuje zamierzenie, z którym nosiła się od dobrych kilku miesięcy. Była gotowa do drogi. Na tylnym siedzeniu czekała niewielka chłodziarka z kanapkami i colą, w bagażniku zgrzewka wody mineralnej, na fotelu pasażera termos z kawą. Spakowała śpiwór, na wypadek gdyby pościel w motelach nie prezentowała się zachęcająco, wrzuciła do torby kilka par dżinsów i wygodne bluzy bawełniane. Pomyślała o ciepłych skarpetach i mocnych, ciężkich butach, jednym słowem o wyposażeniu odpowiednim na wyprawę po górskich miasteczkach północnej Kalifornii. Najchętniej już siadłaby za kierownicą, ale kochane rodzeństwo, młodszy brat Drew i starsza siostra Erin, nie mogli się z nią rozstać.

– Zabrałaś karty telefoniczne, które ci dałam? – upewniała się Erin. – W tych górskich ostępach twoja komórka może tracić zasięg.

– Zabrałam.

– Wystarczy ci pieniędzy?

– Dam sobie radę.
– Za niecałe dwa tygodnie Święto Dziękczynienia.
– Zdążę wrócić. – Gdyby powiedziała cokolwiek innego, znów zaczęłoby się gadanie. – Odnalezienie Iana nie powinno zająć mi zbyt wiele czasu. Wiem już, gdzie go szukać.

– Przemyśl to jeszcze, Marcie. – Erin podjęła ostatnią próbę odwiedzenia siostry od podróży. – Znam bardzo dobrych prywatnych detektywów, moja firma często zatrudnia ludzi z tej branży. Dotrą do Iana i przekażą mu to, co chcesz przekazać.

– Przerabialiśmy to dziesiątki razy – powiedziała Marcie. – Chcę go zobaczyć, porozmawiać z nim.

– Znajdźmy go najpierw, wtedy będziesz mogła... Wy tłumacz jej, Drew – zwróciła się o wsparcie do brata.

Drew odetchnął głęboko.

– Znajdzie go, zobaczy, co się z nim dzieje, porozmawia, da mu karty bejsbolowe i wróci do domu.

– Moglibyśmy...

Marcie położyła dłoń na ramieniu siostry, spojrzała jej w oczy.

– Dość. Muszę to zrobić. I zrobię po swojemu. Nie dyskutujmy już na ten temat. Wiem, myślisz, że jestem głupia, ale nie zmienię decyzji. – Pocałowała Erin w policzek.

– Och, nie jesteś głupia, ale... – Wiotka, piękna, wytworna, spełniona zawodowo, absolutne przeciwieństwo Marcie, matkowała młodszej siostrze, właściwie wychowała ją, i teraz nie mogła zrozumieć, że mała siostrzyczka stała się dorosłą, samodzielną kobietą.

– Nie martw się. Będę uważać na siebie. Niedługo wrócę. – Cmoknęła Drew. – Doktorze, przepisuj jej coś

na uspokojenie. – Był to taki żarcik, dobrotliwa kpinka dla rozładowania sytuacji. Owszem, Drew studiował medycynę, ale wiele jeszcze będzie przyplwów i odpływów na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu, nim zdobędzie prawo wypisywania recept.

Brat zaśmiał się głośno i uściśkał Marcie.

– Wracaj szybko, bo ona mnie wykończy.

– Obchodź się z nim łagodnie. – Marcie spojrzała na Erin. – To był mój pomysł, nie jego. Ani się obejrzysz i będę z powrotem.

Zostawiła siostrę i brata na chodniku przed domem i wsiadła do samochodu. Dopiero kiedy wyjechała na autostradę, poczuła łzy w oczach. Wiedziała, że rodzeństwo będzie się martwić, ale nie miała wyboru.

Wkrótce minie rok od śmierci męża Marcie, Bobby’ego. Odszedł tuż przed ostatnim Bożym Narodzeniem, miał dwadzieścia sześć lat. Trzy ostatnie lata życia spędził w szpitalu, potem w domu opieki, przykuty do łóżka, sparaliżowany, całkowicie odcięty od świata, z poważnym urazem mózgu. Służył w marines, brał udział w amerykańskiej interwencji w Iraku, wrócił jako warzywo. Jego sierżantem i najserdeczniejszym przyjacielem był Ian Buchanan. Dla Bobby’ego nie ulegało wątpliwości, że Ian odsłuży w korpusie pełnych dwadzieścia lat, ale odszedł ze służby wkrótce po tym, jak Bobby został ranny.

Odszedł z armii i zniknął bez śladu.

Marcie wiedziała, że Bobby nigdy nie wróci do zdrowia. Liczyła się z najgorszym, oczekiwała, że śmierć będzie wybawieniem, przynajmniej dla niego. Miała nadzieję, że ona sama wyjdzie ze stanu zawieszenia, w którym trwała przez ostatnie lata, zacznie nowy etap w życiu. Miała dopiero dwadzieścia siedem lat

i mnóstwo możliwości przed sobą. Mogła się kształcić, podróżować, poznawać nowych ludzi.

Minął rok, a ona trwała ciągle w tym samym punkcie, nie była w stanie zrobić kroku. Wiedziała, że powinna, och, doskonale wiedziała, ale co z tego? Nie potrafiła zerwać się do lotu, do biegu, choćby do człapania w przód. Człapała więc w miejscu. Tak to trwało i trwało, aż wreszcie coś w niej pękło i ruszyła w drogę.

By ruszyć w następną drogę, nową drogę życia, musiała najpierw przebyć tę.

Musiała znaleźć odpowiedzi, ułożyć wszystko w swojej głowie, i pójść dalej.

Nie rozumiała, dlaczego człowiek, którego Bobby kochał jak brata, po prostu zapadł się pod ziemię, nie pisał, nie dzwonił, nie dał żadnego sygnału, co z nim się dzieje. Zerwał kontakty z kolegami z marines, z własnym ojcem. A także z nią, żoną swojego najlepszego przyjaciela.

A pomysł z kartami bejsbolowymi... Erin uważała, że trudno o coś bardziej absurdałnego, ale Marcie знаła Bobby'ego od czasów szkolnych i wiedziała, czym był dla niego bejsbol i ukochana kolekcja kart. Bobby znał na pamięć wyniki każdego meczu ligowego, potrafił wyrecytować skład dowolnej drużyny. Okazało się, że Ian też jest fanatykiem bejsbolu, też zbierał karty. Bobby pisał w listach do żony, że po powrocie do Stanów wymienią się dubletami, już ustalili, co za co.

Gdzieś tam, na irackiej pustyni, zagrożeni przez snajperów i bomberów samobójców, dwóch przyjaciół zażarcie dyskutowało o lidze bejsbolu. Czyż to nie czysty surrealizm?

Ostatni list Bobby'ego, pisany na krótko przed tym, jak został ranny, cały był poświęcony Ianowi: że Bobby

chciałby być taki jak on, że Ian jest prawdziwym żołnierzem piechoty morskiej, że myśli o nich, potrafi wyprowadzić oddział z najgorszych starć, że nigdy żadnego żołnierza nie zostawiłby samemu sobie pod ogniem nieprzyjaciela. Był zawsze przy swoich chłopcach, prowadził ich do walki i płakał z nimi nad listami z domu. Potrafił ich rozśmieszać, ale potrafił być też twardy i wymagający. W tym samym liście Bobby pisał, że chce zostać zawodowym żołnierzem Marine Corps, jak Ian Buchanan, i prosił żonę o wsparcie. Będzie dumny, jeśli bodaj w połowie dorówna Ianowi. Wszyscy chłopcy uważali swojego sierżanta za prawdziwego bohatera, człowieka, który jeszcze trochę, a stanie się żywą legendą.

Marcie czytała ten list dziesiątki razy, chociaż w całości poświęcony był Ianowi. On również powinien poznać ten list, powinien wiedzieć, jak Bobby go szanował, a zarazem kochał po bratersku, jak to się zdarza między towarzyszami broni, jakim był dla niego autorytetem, w ogóle jak go widział.

Minał prawie rok od śmierci Bobby'ego, a ona ciągle miała poczucie, że ciąży nad nią niezałatwione, niedomknięte sprawy, jakby brakowało jakiejś części całości.

Ian uratował życie Bobby'emu. Co prawda nie zdołał ocalić przyjaciela od ciężkich obrażeń, ale wyniósł go żywego spod ognia. Po czym zniknął. Nie mogła tego tak zostawić.

Nie miała zbyt wiele pieniędzy. Od pięciu lat pracowała jako sekretarka. Owszem, mili ludzie, sympatyczne zajęcie, ale pensja raczej jednoosobowa, dla kogoś bez zobowiązań, za to z minimalnymi potrzebami. Miała szczęście, że szef dał jej urlop bezpłatny.

– Posada czeka na ciebie – zapewnił przy tym. – Po prostu wracaj, kiedy już będziesz mogła.

Pojechała najpierw do Niemiec, gdzie Bobby został przetransportowany z Iraku, potem była przy nim cały czas, gdy przewieziono go do Waszyngtonu. Obciążenia finansowe, jakie się z tym wiązały, przekraczały jej możliwości. Bobby służył trzeci rok w marines i zarabiał ledwie tysiąc pięćset dolarów. Marcie wyjęła wszystkie pieniądze z kart kredytowych, pozaciągała pożyczki, chociaż Erin i rodzice Bobby'ego chcieli jej pomóc. Później było jeszcze gorzej, jako że polisa na życie Bobby'ego nie wystarczyła na spłacenie długów, a wdrowie odszkodowanie też było niewysokie.

Jakimś cudem, dzięki upartym staraniom Erin, udało się umieścić Bobby'ego w rodzinnym Chico. Większość rodzin inwalidów, nie mając innego wyboru, przenosiła się w pobliże ośrodka, do którego pacjent trafiał zgodnie z ustalonymi procedurami, i nikt się nie przejmował, że będą daleko od domu. Erin udało się jednak wywalczyć miejsce w prywatnym domu opieki. Koszty pobytu refundowano z Programu Zdrowotnego dla Służb Mundurowych. Inni nie mieli takiego szczęścia, system administracji wojskowej, jak każdy system biurowy, był niewydolny, ociężały, przesiąknięty rutyną.

Wszystkie formalności związane z opieką nad Bobbym, i ze sprawami dotyczącymi wypłaty polisy, odszkodowania i renty, wzięła na siebie Erin. Sama też opłacała wszystkie rachunki domowe, do tego dochodziło jeszcze czesne Drew.

Na wyprawę w nieznane Marcie nie wzięła ani grosza od siostry. Erin i tak już zrobiła dla niej więcej, niż mogła. Byłoby rozsądniej poczekać do wiosny, odłożyć trochę więcej pieniędzy i dopiero wówczas ruszyć na poszukiwanie Iana Buchanana, jeżdżąc po małych miasteczkach północnej Kalifornii, ale zbliżające się święta

Bożego Narodzenia, a także rocznica śmierci Bobby'ego, wszystko to popychało ją do działania. Chciała jak najszybciej zamknąć sprawę. Oby udało się jej odnowić kontakt z Ianem przed świętami.

Była zdeterminowana, przeświadczona, że go odnajdzie. Duchy przeszłości odejdą, a ona i Ian będą mogli zacząć nowe życie...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Marcie wjechała do kolejnego miasteczka, szóstego już tego dnia. Na środku głównej ulicy zobaczyła choinkę, którą ubierały trzy kobiety. Były drobne, choinka natomiast ogromna, wysoka na dobrych dziesięć metrów, co powodowało pewną niekompatybilność ekipy i obiektu.

Marcie zatrzymała się przy krawężniku i wysiadła z samochodu. Jedna z kobiet, mniej więcej w jej wieku, trzymała w dłoniach pudło z ozdobami. Druga, starsza pani o siwych, kręconych włosach, z wielkimi okularami na nosie, zadzierała głowę i z zapalem wskazywała na czubek drzewka. Marcie nie mogła się nie uśmiechnąć, patrząc na samozwańczą panią generał dowodzącą oddziałem do zadań świątecznych. Trzecia dama, śliczna blondynka, stała na szczycie wysokiej, składanej drabiny. Drzewko usadowiono między niewielkim, piętrowym budyneczkiem a starym kościołem, który zdecydowanie pamiętał lepsze czasy, teraz zaś robił wrażenie zamkniętego na cztery spusty.

Nie minęła chwila, gdy na ganku budyneczku pojawił się mężczyzna. Spojrzał w górę, stanął jak wryty i zaklął

szpetnie, po czym stanowczym krokiem podszedł do drabiny.

– Nie ruszaj się. Nie oddychaj – powiedział cichym, rozkazującym głosem i zaczął się wspinać, biorąc po dwa szczeble naraz. Kiedy dotarł do blondynki, objął ją mocno wpół powyżej zaokrąglonego już brzucha, i mruknął: – Schodzimy. Ostrożnie, powoli.

– Odczep się, Jack! – fuknęła jasnowłosa dama.

– Nie awanturuj się, bo cię zniosę – zagroził przyszły ojciec, bo najpewniej był to mąż pięknej pani i troskliwy rodzic in spe. – Już, schodzimy.

– Na litość bos...

– Schodzimy – syknął rodzic in spe.

Blondynka zaczęła schodzić zabezpieczana przez męża. Kiedy stanęli na ziemi, wzięła się pod boki i posłała domowemu tyranowi paskudne spojrzenie.

– Sama decyduję, co mi wolno! – Dla wzmocnienia efektu prychnęła gniewnie.

– Gdzie ty masz rozum, kobieto? Mogłaś spaść!

– To bardzo solidna drabina, wcale bym nie spadła.

– Aha, czyli zamiast rozumu masz jasnowidzenia, tak? Nie będziesz w ciąży skakać po drabinach jak jakaś głupia koza! – Pan mąż też wsparł się pod boki. – Ktoś będzie musiał cię pilnować od rana do wieczora. – Spojrzał wymownie na dwie pozostałe damy.

– Mówiłam, ostrzegałam, że się wściekniesz. – Szatynka bezradnie wzruszyła ramionami.

– Ja się nie wtrącam w rodzinne awantury – oznajmiła z godnością siwa pani i poprawiła wielkie okulary w ciężkich, czarnych oprawkach. – Nie moja broszka.

Marcie zatęskniła za domem. No, zatęskniła wprost okropnie. Wyjechała z Chico zaledwie przed kilkoma tygodniami, a już brak jej było domowych awantur i tych

wszystkich kłopotów i problemów, które przynosiło zwyczajne życie. Tęskniła też za swoją pracą i za przyjaciółkami. A także za rozstawianiem po kątach uprawianym przez kochaną siostrzyczkę. No i, rzecz jasna, za lekko porąbanym braciszkiem, który co miesiąc odkrywał nową miłość.

Święto Dziękczynienia minęło, a ona ciągle była w drodze. Bała się zajrzeć do domu, a to w obawie, że Erin drugi raz już jej nie wypuści. Wszyscy, siostra, brat, rodzina Bobby'ego uważali, że jej wyprawa to poroniony pomysł. Dzwoniła prawie codziennie i kłamała, że ma pewny trop, już tylko trochę, a na pewno dotrze do Iana.

Pojawił się jednak jeden zasadniczy problem. Ogromny problem. Mianowicie kończyły się pieniądze. Od pewnego czasu sypiała w samochodzie, oszczędzając na noclegach w motelach, co nie było najlepszym rozwiązaniem, bo robiło się coraz zimniej. Przecież był początek grudnia i lada dzień spadnie pierwszy śnieg albo przyjdzie deszcz, przymrozki, ślizgawica na drogach i mały garbusek sfrunie w przepaść.

Trudno. Garbusek nigdzie nie pofrunie, a ona nie wróci do domu, dopóki nie odnajdzie Iana. Musi wypełnić misję. W najgorszym razie przerwie na jakiś czas poszukiwania, zarobi kilka groszy i znowu ruszy w drogę. Ale za nic nie odpuści.

Choinkowe damy i przyszyły rodzic przyglądali się jej ciekawie. Nerwowym ruchem odgarnęła włosy. Nie jakieś tam banalne włosy, tylko rude, kręcone i niesforne, zawsze wiały, gdzie chciały, i nie dawały się uładzić.

– Ja... mogłabym wejść na górę. Nie mam lęku wysokości...

– Nie musisz. – Blondynka w ciąży uśmiechnęła się słodko.

– Ja to zrobię – zadeklarował pan opiekuńczy. – Albo poproszę kogoś, ale ty na pewno nie będziesz lazić po tej cholernej drabinie.

– Jack, zachowuj się, bo pójdziesz do kąta – podkpiwała sobie z mężusia. – Już nazwałeś mnie głupią kozą, teraz ta cholera. Gdzie twoje maniery? Coś ty, dzikus z lasu?

Opiekuńczy zwany Jackiem odchrząknął, po czym spojrzał na Marcie.

– Nie przejmuj się – łagodził sytuację. – Tylko tak sobie gadamy. Możemy ci w czymś pomóc?

– Ja... hm... – Podeszła bliżej, wyjęła zdjęcie z kieszeni kamizelki i podsunęła opiekuńczemu. – Szukam tego człowieka. Straciłam z nim kontakt trzy lata temu, ale wiem, że musi gdzieś tu mieszkać. To pewne, bo ma skrytkę na poczcie w Fortunie.

– Jezu – mruknął Jack.

– Znasz go?

– Nie. – Pokręcił głową, przyglądając się zdjęciu młodego mężczyzny w mundurze korpusu. – Dziwne, bo znam wszystkich marines w promieniu stu kilometrów, jeśli nie osobiście, to przynajmniej ze słyszenia.

– Może się nie przyznawać, kim był. Pod koniec służby miał podobno jakieś problemy...

Pan opiekuńczy spojrzał na Marcie znacznie przyjaźniej.

– Jack Sheridan – przedstawił się. – Moja żona, Mel. A to Paige. – Wskazał szatynkę. – I Hope McCrea, nasza agencja informacyjna i wywiadowcza w jednej osobie. – Wyciągnął dłoń.

– Marcie Sullivan.

– Dlaczego szukasz tego faceta? – zapytał.

– To długa historia – powiedziała Marcie. – Był

przyjacielem mojego nieżyjącego już męża. Teraz musi wyglądać inaczej niż na zdjęciu. Ma bliznę na lewym policzku. Prawdopodobnie nosi brodę. W każdym razie nosił, kiedy widziałam go ostatnio przed kilku laty.

– Brodatych mamy pod dostatkiem. To kraina drwali, a drwale nie zwracają sobie głowy goleniem.

– Nie chodzi tylko o brodę – ciągnęła Marcie. – On ma teraz trzydzieści pięć lat, a zdjęcie było robione, kiedy miał dwadzieścia osiem.

– Mówisz, że to przyjaciel twojego męża? Z korpusu?

– Tak. Razem byli w Iraku. Bardzo chciałabym go odnaleźć. Tak długo się nie odzywał...

Jack uważnie studiował zdjęcie, rozważał coś, w końcu powiedział:

– Chodź do baru. Przegryziesz coś, napijesz się piwa, jeśli masz ochotę. Zresztą zamówisz, co zechcesz. Powiesz mi, co to za facet i dlaczego go szukasz.

– Bar? – Marcie rozejrzała się niepewnie.

– Bar i grill. Jedzenie i napoje. Usiądziemy, porozmawiamy.

Marcie zaburczało w żołądku. Dochodziła czwarta, a ona od rana nie miała nic w ustach. Resztki pieniędzy oszczędzała na paliwo, uznawszy, że benzyna jest niezbędna, natomiast jedzenie niekoniecznie. Kombinowała, że kupi gdzieś bochenek wczorajszego chleba i słoi-czek masła orzechowego, a potem zje w samochodzie. A przed nocą znajdzie jakiś bezpieczny parking i prześpi się kilka godzin...

– Szklanka wody wystarczy w zupełności. Jestem cały dzień w drodze, zatrzymuję się w kolejnych miasteczkach, pokazuję zdjęcie, ale głodna nie jestem.

– Wody mamy pod dostatkiem. – Jack z uśmiechem